

Ameryka i rywalizacja irańsko-saudyjska

31 maja 2015

Pod koniec kwietnia do Waszyngtonu dotarła wreszcie spóźniona wiosna. Jednak ani kwitnące drzewa czereśniowe, ani wiosenne temperatury nie były w stanie rozproszyć atmosfery zaniepokojenia i zakłopotania panującej w amerykańskiej stolicy. Przez kuluary Kongresu i sale konferencyjne największych centrów badawczych przy Massachusetts Avenue czy Connecticut Avenue przetaczają się te same pytania: co tak naprawdę dzieje się na Bliskim Wschodzie? I co powinny zrobić Stany Zjednoczone, aby uniknąć pogrążania się po raz kolejny w tej topieli?

Wojna domowa w Syrii, krwawe działania Organizacji Państwa Islamskiego (OPI), bombardowanie Jemenu przez koalicję 7 państw arabskich, nie wspominając już o przemocy wyznaniowej między sunnitami a szyitami, codziennie goszczą na pierwszych stronach gazet. Jednakże amerykańska strategia reagowania na te wyzwania, wydaje się mało czytelna. Stany Zjednoczone mają też problem z powściągnięciem swoich sojuszników – czy to Arabii Saudyjskiej, innych monarchii naftowych, czy też Egiptu i Iraku – w ogarniętym wrzeniem Maszreku.

Oficjalna wizyta irackiego premiera Hajdara al-Abadiego (zresztą pierwsza tego rodzaju) uwidoczniała utrzymujący się głęboki rozdźwięk między Waszyngtonem a jego partnerami, na który wydaje się skazana administracja prezydenta Baracka Obamy. Waszyngton obiecał Bagdadowi 200 mln dolarów na pomoc osobom przesiedlonym ze względu na walkę przeciwko OPI, jak również poparcie przy uzyskaniu od Międzynarodowego Funduszu Walutowego (MFW) pożyczki w wysokości 700 mln. Te pieniądze mają być przeznaczone na wyrównanie rosnącego irackiego deficytu budżetowego, który wyniesie w 2015 r. 25 mld dolarów, a zatem równowartość 1/3 przewidywanej na ten rok wysokości

dochodów z eksploatacji ropy naftowej.

CO ROBIĆ?

Amerykańscy przywódcy nie przestawali przekonywać swojego rozmówcy, by zdystansował się od irańskich liderów. „Iran powinien respektować suwerenność Iraku i zaprzestać jednostronnych interwencji na irackich terytoriach” powtarzał wielokrotnie Barack Obama, zarzucając Teheranowi militarne wspieranie walczących przeciwko OPI milicji szyickich bez oglądania się na władze w Bagdadzie. Milicje te są stale oskarżane o plądrowanie własności i przemoc wobec ludności cywilnej, jak to miało miejsce podczas odbicia Tikritu pod koniec marca.

Al-Abadi próbował najpierw zbagatelizować rolę odgrywaną w jego kraju przez Iran, potwierdzając jedynie obecność setki doradców wojskowych. Następnie on sam i jego towarzysze wyrazili radość z „postępu dyplomatycznego, jaki został dokonany w sprawie irańskiego programu nuklearnego” oraz „zaangażowania” Waszyngtonu w wysiłki na rzecz wypracowania ostatecznego porozumienia w tej dziedzinie do końca czerwca tego roku. „Przesłanie al-Abadiego było jasne. Zasugerował Stanom Zjednoczonym, że nie mogą podejmować – choćby i nieśmiałych – prób zbliżenia do Iranu, a jednocześnie robić Irakowi wymówki, że jest sojusznikiem tego kraju”, skomentował amerykański dyplomata pragnący zachować anonimowość.

Zdaniem tego wytrawnego znawcy świata arabskiego Stany Zjednoczone nie wiedzą już, co robić i jak reagować na wydarzenia na Bliskim Wschodzie. „Jeszcze przed kilkoma laty nasi sojusznicy nie sprawiali nam problemów pod względem spójności. Podporządkowywali się głównym liniom naszych działań, a my dawaliśmy im wystarczającą swobodę, by nie czuli się przymuszeni do całkowitego podporządkowania. Teraz musimy bez przerwy godzić sprzeczne stanowiska”. Opinię tę podziela pochodzący z Iraku Ahmed Ali, politolog pracujący dla waszyngtońskiego ośrodka badawczego Empowering Youth for Peace

in Iraq: „Administracja Obamy doskonale zdaje sobie sprawę, że reżim w Bagdadzie musi poszukiwać równowagi między wpływami Stanów Zjednoczonych i Iranu, ponieważ potrzebuje obu tych ważnych partnerów, by pokonać Państwo Islamskie”. Inni eksperci, jak Richard Nephew z Brookings Institution, think tanku z kręgów Partii Demokratycznej, zastanawiają się nad pozornym paradoksem, który każe amerykańskiemu prezydentowi hamować zapędy Kongresu, który próbuje nasilić sankcje w stosunku do Iranu, używając jednocześnie dość ostrego tonu wobec tego samego kraju w kontekście sytuacji w Iraku czy Jemenie.

ROZŁAM W STREFIE WPŁYWÓW

Jednakże oficjalna wizyta al-Abadiego wykazała przede wszystkim inny rozłam – znacznie poważniejszy – wewnątrz amerykańskiej strefy wpływów na Bliskim Wschodzie. Wspominając o prowadzonych przez koalicję z Arabią Saudyjską na czele nalotach na Jemen, które mają powstrzymać ofensywę huthickich milicji, iracki premier zastanawiał się nad zasadnością podobnych działań i oceniał, że „rozwiązania problemów Jemenu należy szukać przede wszystkim w Jemenie”. Jasne jest, że Bagdad optuje za powrotem do dialogu narodowego z udziałem huthich, którzy ponownie chwycili za broń w proteście przeciwko projektowi państwa federalnego przedstawionego przez prezydenta Abd Rabu Mansura Hadiego [1].

Co więcej, podczas spotkania z niewielkim komitetem dziennikarzy w Blair House, rezydencji zagranicznych dygnitarzy zaproszonych przez Biały Dom, iracki przywódca głośno przyznał, że administracja Obamy podzielała jego opinię. Amerykańscy politycy, podobnie jak on, uznawali, że Arabia Saudyjska „stanowi największą przeszkodę w osiągnięciu zawieszenia broni” między jemeńskimi frakcjami. Oświadczenie to pociągnęło za sobą niemal natychmiastowe dementi rzecznika prasowego amerykańskiej Narodowej Rady Bezpieczeństwa Alistaira Baskeya oraz konferencję prasową zorganizowaną ad hoc przez saudyjskiego ambasadora Adila al-Dżubeira, który

napiętnował „brak logiki” w oświadczeniu premiera al-Abadiego.

W rzeczywistości wystąpienie irackiego przywódcy w żaden sposób nie zaskoczyło ani nie zaszokowało Waszyngtonu. Dają się tu odczuć poważne wątpliwości co do zdolności ar-Rijadu do poprowadzenia szerszej operacji wojskowej. Rezultaty pozostają wątpliwe, a bilans ofiar śmiertelnych – w znacznej większości cywilów – od momentu rozpoczęcia bombardowań 26 marca do 20 kwietnia sięgnął niemal tysiąca. W opinii pewnego arabskiego dyplomaty pracującego na placówce w amerykańskiej stolicy „Arabia Saudyjska chce za wszelką cenę przywrócić na stanowisko prezydenta Hadiego i unieszkodliwić huthich. To sposób, aby zasygnalizować Iranowi, że jego wpływy na Półwyspie Arabskim będą bezwzględnie zwalczane. Stany Zjednoczone natomiast mają świadomość, że istnieje polityczne rozwiązanie kryzysu jemeńskiego, a jego warunkiem jest wybór nowego prezydenta, choćby i sunnity, którego zaakceptowałiby huthi”.

Jednak Waszyngton – jak się wydaje – nie jest w stanie przekonać ar-Rijadu, by zgodził się na kompromis. Aby ograniczyć cywilne straty oraz zminimalizować skutki interwencji, która może rozszerzyć się na cały region, armia amerykańska przyznała sobie prawo do weryfikacji celów wyznaczanych przez koalicję. Oficjalnie to Arabia Saudyjska wraz z partnerami określa cele bombardowań, a Pentagon dostarcza im informacji zebranych przy użyciu swoich dronów, które są przetwarzane jednocześnie w trzech centrach operacyjnych w Arabii Saudyjskiej, Katarze oraz Bahrajnie. Jednakże, jak wyjaśnia doradca do spraw obrony Richard Stark, przekazywanie informacji lub zatrzymywanie ich dla siebie „oznacza ostatecznie prawo weta odnoście celów, które mają zostać zbombardowane”...

CZEGO CHCE WASZYNGTON?

W tym pośrednim udziale w saudyjskich operacjach wojskowych (do którego dochodzą działania na morzu mające uniemożliwić

zaopatrywanie huthickich milicji w broń) wyraża się potrójny cel Stanów Zjednoczonych. Po pierwsze: opóźnić najdalej, jak to możliwe – a najlepiej zapobiec – interwencji lądowej ok. 150 tys. saudyjskich żołnierzy zgromadzonych na jemeńskiej granicy. I to nie ze względu na humanitarne czy pacyfistyczne zapatrywania, lecz z powodu obawy Waszyngtonu, że podobna ofensywa mogłaby zakończyć się porażką armii saudyjskiej. Nauczeni doświadczeniami z listopada 2009 r., gdy saudyjskie wojsko poniosło poważne straty w pierwszym ataku na huthickich rebeliantów, amerykańscy przywódcy nie chcieliby oglądać powtórkę takiego scenariusza, która mogłaby zmusić ich do wysłania oddziałów lądowych w sytuacji, gdy rozpoczyna się właśnie kampania przed wyborami prezydenckimi w 2016 r.

Waszyngton zachowuje tym większą ostrożność w odniesieniu do ewentualnej interwencji lądowej, że jego dwaj potencjalni sojusznicy nie spieszą się, by wesprzeć go w tych działaniach. Ani Egipt, który uczestniczy przynajmniej w interwencji powietrznej, ani Pakistan, który ku rozczarowaniu Arabii Saudyjskiej i innych monarchii naftowych rejonu Zatoki Perskiej nie przyłączył się do koalicji, nie biorą pod uwagę takiej ewentualności [2]. Poproszone przez ar-Rijad o wywarcie presji na Pakistan Stany Zjednoczone nie kwapią się jak dotąd, aby to uczynić, ku wielkiej uldze pakistańskiego premiera Nawaza Szarifa.

Szarif, ostro krytykowany przez swojego saudyjskiego sojusznika i Zjednoczone Emiraty Arabskie, zapowiedział, że weźmie udział w interwencji w sytuacji, gdy zagrożona zostanie integralność terytorialna Arabii Saudyjskiej. „Pakistańska armia jest odbiciem układu wyznaniowego w kraju. W jej szeregach wchodzi również szyici i nie ma wątpliwości, że włączenie się jej w walkę o wpływy między ar-Rijadem a Teheranem wywołałoby wewnętrzne załamanie”, ocenia pakistański politolog i bloger Khalid Muhamad, który uznaje, że jego kraj nie ma żadnego interesu we wspieraniu „ekspansjonistycznego przedsięwzięcia” ar-Rijadu.

Drugim celem, który chce zrealizować Waszyngton, próbując powstrzymać Arabię Saudyjską od rozpoczęcia operacji naziemnej, wiąże się z sytuacją w Iraku. W czasie wizyty premier al-Abadi ostrzegał swoich amerykańskich rozmówców przed takim rozwojem wydarzeń, oceniając, że wahhabickie królestwo odgrywałoby wówczas w regionie „podobną rolę jak Saddam Husajn najeżdżający na Kuwejt i zagrażający innym sąsiadom”. Już w 2011 r. saudyjska interwencja w Bahrajnie mająca położyć kres poważnej rewolcie w większości szyickiej ludności, zaalarmowała władze irackie. Dała im do zrozumienia, że ich kraj, kontrolowany obecnie przez szyickie władze centralne, może wcześniej czy później stać się celem kolejnej saudyjskiej operacji wojskowej. „Ostatnią rzeczą, której chciałyby Stany Zjednoczone, jest pogłębienie napięć między Saudyjczykami a Irakijczykami w sytuacji, gdy ci ostatni i tak oskarżają pierwszych o potajemne finansowanie Państwa Islamskiego. Jemeński kryzys pozwala sądzić, że ar-Rijad zdecydował przejąć inicjatywę i zasygnalizować swoim rywalom, że od dziś trzeba się będzie z nim liczyć” dodaje arabski dyplomata z Waszyngtonu.

Trzeci cel, do którego dążą Stany Zjednoczone, próbując ograniczyć straty związane z interwencją w Jemenie, to nie dopuścić do sytuacji, by region stał się polem wojny zastępczej między Arabią Saudyjską, uznającą się za lidera świata sunnickiego, a szyickim Iranem. Także i tutaj dominuje pragmatyzm. Angażując się już w Iraku w walkę z oddziałami OPI i biorąc pod uwagę ewentualną akcję wojskową w Syrii, administracja Obamy zdaje sobie sprawę, że pogorszenie sytuacji spowodowałoby pojawienie się nowych ognisk konfliktu wyznaniowego wszędzie na Bliskim Wschodzie, w tym również w rejonie Zatoki Perskiej, która jest strategicznym światowym źródłem ropy naftowej.

WIDMO KONFLIKTU WYZNANIOWEGO

„W świecie arabskim dominuje przekonanie, że Stany Zjednoczone chcą sprowokować szerszy konflikt między szyitami a sunnitami

po to, by lepiej sprawować kontrolę nad regionem Zatoki Perskiej i całym Bliskim Wschodem. A przecież nie ma większego ryzyka niż to, które niosłoby ze sobą otwarcie tej puszeki Pandory. Mogłoby to zasiać chaos od Libanu aż po Indie”, ocenia politolog Hasni Abidi z genewskiego Centrum Nauk i Badań nad Światem Arabskim i Śródziemnomorskim (Cermam). I tak w Libanie sekretarz generalny Hezbollahu Hasan Nasrallah już wielokrotnie wzywał muzułmanów do przeciwstawienia się „manipulacjom i konfliktom” wzniecanym przez Arabię Saudyjską. Echa tego apelu można było usłyszeć w przemówieniu irańskiego prezydenta Hasana Rohaniego, który podczas dorocznej defilady sił zbrojnych swojego kraju otwarcie oskarżył Arabię Saudyjską o finansowanie terroryzmu w Syrii, Libanie i Iraku.

Ar-Rijad doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że Stany Zjednoczone z obawą patrzą na możliwość pogłębienia się jego konfliktu z Iranem. Podczas gdy na portalach społecznościowych sunniccy dygnitarze nadal obrzucają „szyickich heretyków” inwektywami, minister spraw zagranicznych ksiązę Saud al-Fajsał, powtarza regularnie, że jego kraj nie uczestniczy w żadnej „wojnie o wpływy czy wojnie zastępczej przeciwko Iranowi”. Niemniej jednak wezwał Teheran, by ten przestał dostarczać broń huthickim rebeliantom. W obecnej sytuacji w regionie oraz wobec poziomu nieufności między Waszyngtonem a ar-Rijadem, który nie jest w stanie mu wybaczyć, że dopuścił do obalenia reżimu Hosniego Mubaraka w Egipcie w lutym 2011 r., nie można wykluczyć, że Arabia Saudyjska zdecyduje się postąpić wbrew woli swojego amerykańskiego protektora i rozpocznie interwencję lądową w Jemenie. Saudyjska opinia publiczna, rozgrzana do białości zaciętym nacjonalistycznym i religijnym dyskursem, oczekuje demonstracji siły, która zatarłaby bolesne wspomnienia z 2009 r. Choćby i za cenę pogrążenia się. „Właśnie tego oczekuje Iran, by potwierdzić swoje wpływy w regionie, niepokoi się saudyjski biznesmen mieszkający w Virginii. To tylko umocni ten kraj, który jako jedyny ma spójną strategię. Nie przypadkiem administracja Obamy próbuje za wszelką cenę zawrzeć z nim porozumienie”.

IRAŃSKI PUNKT ODNIESIENIA

Wielu ekspertów uznaje, że Republika Islamska wychodzi zwycięsko (przynajmniej w chwili obecnej) z dyplomatycznego starcia. Teheran nie tylko zawarł tymczasowe porozumienie w sprawie programu nuklearnego, lecz jeszcze zdołał przekonać Turcję i Pakistan, by nie włączyły się w koalicję sformowaną przez Arabię Saudyjską, by uderzyć z powietrza na Jemen. Innym niebagatelnym sukcesem było zniesienie przez Rosję embarga na dostawy niektórych rodzajów broni dla Iranu, które kraj ten jednostronnie wprowadził w 2010 r. Decyzja ta pozwala rozpocząć realizację kontraktu podpisanego w 2007 r. i wartego 800 mln dolarów na dostawę baterii przeciwlotniczych typu S-300.

Iran, umocniony dzięki odnowieniu więzi ze Stanami Zjednoczonymi i Zachodem, rozgrywający swoją własną grę w Iraku i Syrii i wykorzystując tarcia wewnątrz obozu proamerykańskiego, wydaje się – przynajmniej w krótkoterminowej perspektywie – wielkim wygranym na zachodzących w regionie zmianach. Wchodząc w szeregi obozu gołębi, nie przestaje – głosem swojego ministra spraw zagranicznych Dżawada Zarifa – przypominać, że „od 250 lat nie najechał na najmniejszy nawet kraj”. Zaś jego apele o realizację planu pokojowego w Jemenie pozwoliły mu zyskać punkty w świecie arabskim, w większości niechętnie patrzącym na interwencję koalicji, i to również wśród niektórych jej członków.

W sytuacji gdy zawirowania będące następstwem rewolucji z 2011 r. nieustannie się nasilają [3], Iran, chociaż szyicki, staje się punktem odniesienia dla ogarniętego chaosem świata sunnickiego. Otwarte jednakże pozostaje pytanie, jak kraj ten zareaguje na kolejne zaostrenie napięcia ze swoim wielkim saudyjskim rywalem.

Autorstwo: Akram Belkaïd

Tłumaczenie: Ewa Cylwik

Źródło: www.monde-diplomatique.pl

PRZYPISY

[1] Prezydent Hadi wybrany na stanowisko w 2012 r., w 6 miesięcy po wynegocjowanym ustąpieniu poprzednika, Alego Abdallaha Saliha, schroniwszy się początkowo w nadmorskim Adenie, pod koniec marca wyjechał z kraju i osiadł w Arabii Saudyjskiej.

[2] Pakistan, kraj muzułmański o sunnickiej większości jest wieloletnim sojusznikiem wojskowym Arabii Saudyjskiej. Ar-Rijad oraz Islamabad, mając wspólnych przeciwników pod postacią ZSRR i Indii, zacieśniły współpracę podczas pierwszej wojny w Afganistanie (1979-1989). Podczas gdy królestwo wahhabickie jest jednym z głównych donatorów na rzecz Pakistanu, ten odgrywa wobec niego rolę chroniącego je mocarstwa atomowego.

[3] Patrz Hiszam Ben Abdallah El-Alawi, „Bunty i wojny po Arabskiej Wiośnie”, Le Monde diplomatique – edycja polska, luty 2015.